Cena egz. 20 gr. JEDNODNIÓWKA.

CEIRIM

gazetka gdudu III. „Agudat Hanoar“.

Rok I. Kraków, marzec 1928 — Nisan 5688. Nr. 1.

Redaktor odpowiedzialny i nakładca: ALBERT HOCHMAN,
Adres redakcji i administracji: Kraków, Stradom 15 — Telefon 4541,

Od redakcji:

Po raz pierwszy my młodzi wydajemy gazetkę. Pragniemy, aby stała się ona ośrodkiem, około którego skupiałyby się nasze myśli. Gazetka naszą jest i dla nas, dlatego też nie powinien się nikt krępować. Każdy powinien szczerze i otwarcie wypowiadać, co myśli i nie powinien się zrażać, jeśli jego artykuł zostanie przypadkiem odrzucony. Zwracamy się tu nietylko do członków organizacji krak., ale do wszystkich naszych braci i sióstr poza Krakowem, gdyż gazetka będzie węzłem łączącym wszystkich członków naszego Związku „Agudat Hanoar Haiwri“.

Josejf Trumpeldor.

Osiem lat mija od czasu, gdy bohaterska śmierć przecięła bohaterskie życie Józefa Trumpeldora. Legenda oplotła barwnemi girlandami opowiadań i pieśni tą wyniosłą postać zawsze czynną, zawsze gotową do ofiar i poświęceń. Od wczesnej młodości towarzyszy mu ludowa wieść, głosząca cuda o niezwykłym Żydzie, który dumą i męstwem wprawia w podziw swoich i obcych. On, który pierwszy z Żydów został oficerem w carskiej Rosji, pierwszy utworzył legjon żydowski od czasów Bar Kochby, On wreszcie obrońca Tel Chaj — bezręki bohater.

Było to w czasie wojny rosyjsko-japońskiej. Trumpeldor, jako ochotnik, wyrusza z wojskiem rosyjskim na Daleki Wschód, walczy tu z niezwykłem męstwem i wkońcu w jednej z bitew traci lewą rękę. Nie korzysta jednak z udzielonego mu zwolnienia z wojska, lecz wnosi prośbę do dowództwa, by pozwolono mu dalej z towarzyszami spełniać obowiązek obywatelski za przybraną ojczyznę, by potem z tem większą słusznością domagać się pełnych praw dla Żydów. Ten nadzwyczajny wypadek zdobywa dla niego pełne uznanie przełożonych. Trumpeldor zostaje wyróżniony i zamianowany oficerem. Żyd po raz pierwszy zostaje w Rosji oficerem.

Późniejsze koleje jego życia wskazały, że potrafił być nietylko dzielnym żołnierzem, ale równie dzielnym chalucem i z równą pewnością trzymać karabin, jak pług w jednej ręce.

W r. 1911 udaje się Trumpeldor z kilku towarzyszami do kraju swych marzeń i tęsknot — do Palestyny. Marzy o tem, by Erec Israel stała się znowu krajem żydowskim, krajem szczęśliwym, gdzie niema bogatych i biednych, pracujących i próżnujących, lecz gdzie ludzie wzajemnie sobie pomagają we wspólnej równej pracy. Przybywszy do Palestyny pracuje narazie w kwucy „Daganji", która przynajmniej w małym zakresie odpowiada jego marzeniom.

Wybucha wielka wojna światowa. Na dźwięk trąbki bojowej zrywa się Trumpeldor, opuszcza Palestynę i w Alexandrji organizuje legjon żydowski. Celem jego — zdobycie orężem naszej Ojczyzny, pokazanie światu, że my i krwią własną gotowi jesteśmy bronić naszych praw do niej. Walczy w tym legjonie, jako jego kapitan i najukochańszy przyjaciel, narazie pod Galipoli.

Wtem dochodzi go radosna wieść, że car w Rosji upadł, nastali nowi władcy, którzy Żydom użyczają więcej wolności. Trumpeldor spieszy tam, by najlepszych z pośród tych Żydów wieść na zdobycie kraju żydowskiego. Tworzy wśród wielkich niebezpieczeństw rozprzestrzenioną dziś po całym świecie organizację „Hechaluc", której celem przygotowanie wielkich rzesz młodzieży żyd. ku pracy w Erec.

Tymczasem wojna kończy się. Trumpeldor jedzie ponownie do Palestyny, by przygotować pole pracy dla swoich chaluców. Tu dowiaduje się, że na północnych kresach, w Galilu, źle się dzieje. Północne nasze kolonje w niebezpieczeństwie. Arabowie zagrażają ich bytowi. W takiej chwili on "גבור גדם" nie mógł stać zdala. Udaje się do Galilu, by bronić honoru i posiadłości żydowskich. Nastaje okres - ciągłych utarczek garstki mężnych chaluców z o wiele liczniejszemi bandami Arabów. W jednej z bitew ginie Trumpeldor na polach Tel Chaj z znanemi dziś powszechnie słowami na ustach: אין דבר, טוב למות בעד ארצנו. *„Nic nie szkodzi, dobrze jest umrzeć za nasz kraj"!*

Słowa te stały się hasłem młodzieży żyd. tu w golusie, a szczególnie tam w Erec, gdzie wielka postać Trumpeldora unosi się nad każdym obozem chalucowym.

Dow.

Pierwsza straż.

Tłum. z „Mesili“

Noc sobotnia. Wszystkie dziewczęta usiadły przy stole pokrytym białym obrusem. Ja zaś i P. spiesznie kończyłyśmy nasz posiłek, bo oto dziś przypada na nas kolej strzeżenia warzywnego ogrodu. Ubrałyśmy płaszcze, uzbroiłyśmy się w grube i wielkie kije i wyszłyśmy. Na polu panowała ciemność; koniec miesiąca. Oto jesteśmy w ogrodzie. Stąpałyśmy sobie prawie po piętach, a nie widziałyśmy jedna drugiej. Okrążamy ogród. Przysłuchujemy się uważnie najlżejszemu szelestowi liścia. Nerwy słuchowe i wzrokowe natężone i napięte. Nagle — has! Jedna wskazuje drugiej i nasłuchujemi. Zdaje się nam, że tam koło cebul ukazał się człowiek. Spieszymy tam, a kije gotowe na wszystko ściskamy w rękach. A oto — nic. Cień ciemnego płotu zwiódł nas. Wróciłyśmy uspokojone.

W kolonji cisza. Znikli spacerujący. Uczułyśmy, że dopiero teraz zaczyna się właściwa straż. Wstałyśmy, by się przejść nieco. Przybyłyśmy do grochu. Nagle — has! Zdaje się nam, że słyszymy szelest między tykami grochu. A oto i jakiś cień się rusza. Dreszcz lekki wstrząsa naszym ciałem. Postanawiamy podejść, podczas gdy ręce nasze ściskają mocno gruby kij. Już kroczymy wśród grochu. Suknie nasze wilgotnieją od obfitości rasy, aż do bólu nóg. Groźnie krzyczymy: ?מין הדה ?מי שם

Nic nie słychać, ani głosu, ani odpowiedzi. Oto zbliżyłyśmy się do tego miejsca i — gromki śmiech wydarł się z naszych piersi: Przecież to młoda oliwka kołysze się w wietrze. Wyszłyśmy trochę wyżej i usiadłyśmy na macie obok grządek pomidorów; siedzimy tak milcząc... Oto nadsłuchuję; zdaje mi się, że teraz już naprawdę ktoś nadszedł. Wstałyśmy, by zobaczyć, a oto strażnicy pobliskiej kolonji przyszli nas odwiedzić. Niezmiernie jest przyjemnie w nocy, gdy razem z tobą czuwającym, czuwają też inni. Spytałyśmy, która godzina. Odpowiedzieli 11-ta. Och! Jak dłuży się noc... Szomrzy siedzieli krótko, odeszli. Noc zaczyna nas nużyć. Wokoło ciemność. Siedzimy na macie i kurczymy się. Już przejmuje nas zimno i rosy coraz więcej.

P. oparłszy głowę o me kolana zdrzemnęła się, a ja nadsłuchuję. Im bardziej słucham, tem większej nabieram pewności, że złodzieje są w ogrodzie. Budzę po chwili towarzyszkę P.: „Wstań, tam na dole — coś podejrzanego“. Krążymy, krążymy,

a tu znów — nic. Prawie, że złoszczę się: „Dlaczego ci złodzieje nie przychodzą“? Choć, prawdę mówiąc, nie chcę, by przyszli... Opieram się z kolei na kolanach P. i drzemię niespokojnie...

Na wschodzie zaczyna jaśnieć. Patrzymy i wyczekujemy, by wreszcie ukazał się księżyc. Ale jak jemu nie spieszno! Zmęczyłyśmy się wypatrując go. Jeszcze chwila... Oto nareszcie ukazał się. Jakże się cieszymy! Śpiewamy kilka pieśni jużto wesołych, jużto smętnych. Rozkoszujemy się widokiem szeregów cebul, które stoją podobne żołnierzom gotowym na każde nieszczęście. Przypatrujemy się również miesiączkowi płynącemu po przestworzach niebieskich, który jeszcze nie przebył ani połowy swej zwykłej drogi.

Która godzina?

Przypuszczamy, że 4-ta. Jak dobrze jest teraz leżeć w łóżku przykrywszy się ciepłą kołdrą i spać. Och! Jakżebyśmy chciały, by wreszcie zajaśniał ranek!

Co ja myślę o tem?

Czuję, że odwróciła się kartka w księdze mego życia. Wczoraj jeszcze hasałam sobie swobodnie, bez trosk. Idąc ze szkoły przystawałam przed każdą wystawą i przyglądałam się dziewczynkom ustrojonym w piękne sukienki, a w domu całe popołudnie mijało mi na zabawie z lalkami i na bazgraniu po szkolnym zeszycie. Gdy przywlókł się wieczór zaczęły się straszne nudy, które wypełniałam grymasami i kaprysami, doprowadzającemi moich rodziców do pasji. A dziś... Dziś czekam niespokojnie, aż będę starszą i silną, bo mam cel w życiu, bo ciążą na mnie obowiązki.

...Rozprószeni po całym świecie tułają się Żydzi, pogardzani, poniżani. Inni dawnoby już zginęli, lub zasymilowali się do otaczających ich narodów. Lecz Żydzi nie! My chcemy żyć! Przodkowie nasi przekazali nam piękne idee, które żaden naród dotychczas w życie nie wprowadził. Sjonizm dąży do tego, abyśmy, jak przed 2 tysiącami lat, skupili się w naszej ojczyźnie, w Erec, i tam rozpoczęli życie przepojone miłością i sprawiedliwością. Nie wszyscy jednak Żydzi są sjonistami. Nieszczęściem naszym jest, że jesteśmy rozdzieleni na grupy. Dlatego z trudem budujemy naszą ojczyznę. Keren kajemet nie ma dość pieniędzy, by licznym rzeszom chalucowym oddać ziemię pod uprawę i dużo naszych braci i sióstr jest dziś bez pracy i czeka na pomoc golusu. Ale oni znoszą głód bez szemrania. Wiedzą, że jeśli nie zbudujemy sobie ojczyzny, to czeka nas wieczna tułaczka i nigdy nie będziemy u siebie w domu...

My jako młodzi najbardziej tęsknimy za życiem. Każden z nas powinien myśleć o tem, jak najlepiej potrafi się przyczynić do odbudowy naszej ojczyzny. A jaki zawód życiowy wybierze, powinien pracować uczciwie nad swoim wyszkoleniem. A tymczasem czem tylko potrafimy, przyczyniajmy się do zwycięstwa sjonizmu. Dziś organizacja jest naszą najważniejszą placówką. Czy o tem zawsze pamiętamy?

Chana.

Kilka stron z mego pamiętnika.

Idę do lokalu. Już jestem na „Zielonej". Wtem spotykam pewnego dalszego członka kwucy „Kaadimah" i jeszcze dalszego członka gdudu III-go.

— Cześć!

— Cześć.

— Dokąd idziesz?

— Do lokalu.

— Po co?

— ? ? ?

— Jesteś idjota!

Nie zwracając uwagi na jego okrzyk idę dalej do lokalu. Wtem spotykam jakiegoś „Niedźwiedzia".

— Servus.

— Servus.

— Gdzie walisz?

— Do lokalu.

— Eee... Niema tam nikogo. Myślałem że się będę z kimś haratał, ale niema nikogo z naszej wiary. — Chodź!...

Odwraca się gniewnie i idzie dalej, a ja idę sobie do lokalu. Wchodzę pod „siedemnastkę" na podwórze, tu walą się śniegiem. Oczywiście dostaję dwie kule w głowę.

Wreszcie wchodzę do lokalu. Krzyk, wrzask. Okulary od gorąca zachodzą mi rosą, nic nie widzę. Stawiam pierwszy krok ostrożnie poza próg... a tu mię pięć rąk częstuje klapsem w głowę. Stawiam drugi krok i... „poczta" gotowa. Z trudem wydostawszy się z żywej wymiany pocztowej, idę do drugiego pokoju szukając spokoju, ale tu dochodzi do mnie przezacny pan gospodarz lokalu i bez ceremonji chwyta mnie za kołnierz i... znalazłem się znów w pierwszym pokoju.

Tu uspokoiwszy się nieco, idę szukać towarzystwa. Dochodzę do jednej dziewczyny i zaczynam z nią rozmawiać, ale wnet dochodzi jej patrolowa i „od moich dziewcząt wara" mówi. „Odwaliwszy się" stąd, szukam innego towarzystwa, a gdy tegoż nie znajduję, staję sobie obok szafy i zaczynam na niej coś bazgrać. pomimo, iż wiem, że się tego robić nie powinno...

Dniel.

O tańcu.

Gdy jeszcze nie należałam do organizacji lubiłam często tańczyć. Powoli jednak nauczyłam się spędzać czas w lokalu bez tańczenia. Tańczę rzadko, ale podczas tańca świat wydaje mi się wesołym i śmiejącym. Słyszę wesołe „uha", które wydobywa się z piersi kilku towarzyszy równie jak ja wesołych i cieszę się, że jestem młoda i mogę tańczyć naszą kochaną horrę.

Jehudit.

Obrazki uliczne.

Było to w zimie. Wracałam ze szkoły zmarznięta i głodna. Chciałam być już w domu i zdawało mi się, że nikomu się tak nie spieszy, jak mnie. Byłam już blisko domu. Przypadkowo rzuciłam okiem w bok, gdzie przy stoliku zarzuconym gazetami siedziała dziewczyna może pietnastoletnia. Zwykle przechodziłam koło niej całkiem obojętnie, ale teraz zwróciła moją uwagę. Siedziała w wytartym płaszczyku. Z rękawów wysuwały się zsiniałe ręce. Nędzny parawanik zszyty z kilku podartych, brudnych kawałków płótna, co chwila podnosił wiatr. Słyszałam, jak odpowiadała ochrypłym głosem na pytania kupujących i starała się uśmiechać możliwie najweselej. Żal mi się jej zrobiło, ale uczucie to przeszło zwolna w podziw dla niej, a potem zawstydziłam się. Zawstydziłam się, gdyż porównałam ją ze mną i zobaczyłam, o ile jej jest gorzej niż mnie, a przecież ukrywa to i stara się myśleć o czemś innem. Postanowiłam też starać się, aby wyrobić w sobie silną wolę.

* *
*

Często słyszałam w domu: „Wiek dwudziesty jest wiekiem ludzi cywilizowanych, niema już barbarzyństwa. Coraz bardziej się je usuwa". A jednak...

Kiedyś w zwykły zimowy ranek szłam do szkoły. Ulicą jechał wóz, na którym piętrzyła się cała góra worów z mąką, ciągniony przez jednego kościstego konia. Nic nadzwyczajnego. Wszak dużo jest ludzi wynędzniałych, cóż dopiero zwierząt.

Nagle koń upadł na ziemię. Było mu za ciężko. Woźnica zaklął i zaczął smagać biedne zwierzę batem. Koń usiłował się podnieść. Nie mógł. Wówczas woźnica zeskoczył i z rozmysłem kilka razy z rzędu kopnął go ciężkim butem w samą głowę. Koń milczał, tylko w jego wyłupiastych oczach można było wyczytać ból. Przez chwilę miałam ochotę zbliżyć się do woźnicy i spytać się go, dlaczego tak męczy swego konia. Nie uczyniłam tego przez tchórzostwo. Bałam się, że odpowie mi przekleństwem.

Byłam zła na siebie, ale jeszcze bardziej na ludzi. Przechodzili oni całkiem obojętnie i zdaje mi się, że się nawet śmiali. Między nimi byli napewno tacy, którzy zachwycają się kulturą i postępem, i gdyby o czemś podobnem czytali w książkach, toby napewno potępili takie postępowanie. *Jehudit.*

Z ulicy.

Idę do sklepu, aby coś kupić. Niebardzo mi się spieszy, idę powoli. Po drodze spotykam jakąś ułomną kobietę, kulejącą, strasznie bladą, w oczach jej wyryte wielkie cierpienie. Stękając oddala się powoli. Robi mi się bardzo smutno.

Idę dalej. Koło mnie przechodzi młodzieniec, wychudły, drżąc nerwowo. Wysoka jego postać jest zgarbiona, oczy mu błyszczą gorączkowo. Pusty rękaw tkwi w kieszeni płaszcza. Dreszcz mię przejął. Nie mogę dłużej patrzeć.

Wchodzę do sklepu. Tutaj stoją jacyś robotnicy weseli, żwawi, tryskający zdrowiem. Młoda dziewczyna stojąca za ladą z uśmiechem podaje im chleb. Wchodzą jakieś panie z dziećmi.

Rozpogodziłam się. Nie wszyscy przecież są nieszczęśliwi. Większość jest ludzi zdrowych, silnych. Śmiejąc się wybiegłam na ulicę.

Liba.

Wspomnienie.

Byłem małym *Chłopcem*, ale wielkim zabijaką. Zawsze się biłem z córeczkami naszej sąsiadki, które były odemnie silniejsze, o czem ja nie wiedziałem, bo przecież ja byłem *Chłopcem* a one *tylko*... dziewczynkami i oczywiście zawsze je zaczepiałem i... zawsze „obrywałem".

Największem mojem marzeniem było pójść na wojnę i „*zwyciężać*" nieprzyjaciela.

Zwykle urządzaliśmy z kolegami wojny na drewniane miecze, od których roboty miałem wiecznie pokaleczone ręce.

Nawet we śnie marzyłem o bójkach.

Raz śnił mi się straszny sen:

Spotkałem się na wojnie z moim nieprzyjacielem Mońkiem. Chwyciliśmy się za bary... — Wszyscy dech wstrzymali i patrzyli na walkę zapaśników. — My zaś — rzekłbyś — naprawdę zrośliśmy się w jedno ciało przez długi czas pozostając bez ruchu i tylko twarze nasze stały się czerwone i tylko z żył, które wyskoczyły nam z czoła i z wygiętych jak łuki ramion, można było rozeznać nasze nadludzkie wysiłki. Nakoniec obaj poczęliśmy dygotać.

Ale stopniowo twarz Mońka stawała się coraz czerwieńsza, a moja coraz sińsza. Upłynęła jeszcze chwila. Niepokój patrzących wzrastał, nagle milczenie przerwałem głuchym, przyduszonym głosem.

— Puszczaj!

Moniek mnie puścił, ale zarazem błyskawicznym ruchem uderzył mnie pięścią w głowę. Upadłem na ziemię, jęknąwszy z bolu.

Obudziłem się i oto leżałem na ziemi pod łóżkiem głową w spluwaczce, a prawą ręką kurczowo ściskałem nogę mego łoża. *Dniel.*

Prawdziwe zdarzenie.

Szłam pustą ulicą. Nie było silnego mrozu, a padający przez cały dzień mokry śnieg zostawił po sobie widoczny ślad: błoto i kałuże. Słońce wychodząc z poza chmur na chwilę tylko przyświecało, aby się potem skryć za jakąś chmurą przybierającą coraz to inne kształty. W chwilach takich wszystkie kałuże nabierały królewskiego wyglądu Patrząc z jednej strony widziało się wszystkie barwy tęczy, a z drugiej te same barwy wydawały się ładniejsze i więcej powabne swą grą kolorów. I tak wzrok bezwiednie szedł w dal a zatrzymywał się tylko na sterczących przedmiotach.

Ulica była cicha a nawet najmniejsze drgnienie nie zamącało ciszy. Szłam tak zapomniawszy zupełnie o celu drogi; wtem doszła mię z poblizkiego domu głośna rozmowa. W bramie stał posterunkowy, który głosem urzędowym rozkazywał młodemu chłopcu wyjść natychmiast z bramy. Chłopiec ten mógł liczyć lat 18, a postać, twarz, ubranie i ręce wskazywały, że zarabia już dawno na swoje utrzymanie, które zdobywa z trudnością. Pchnięty energicznie przez policjanta chłopiec wyleciał z bramy jak z procy i zrobiwszy kilka kroków zaczął się powoli osuwać na ziemię. Objawy, które towarzyszyły temu upadkowi, wskazywały, że chłopiec ten jest epileptykiem. Zachowanie policjanta było okropne. Nie wiem nawet, czybym potrafiła to opisać. Wiem tylko, że wszystkie uderzenia policjanta ja odczuwałam napewno więcej jak ów biedny chłopiec. Naraz z odrętwienia wyrwał mię chichot ludzi stojących obok mnie. Oburzyło mię to tak, że zacisnęłam zęby i odchodząc szybko, myślałam sobie, że ludzie są gorsi od zwierząt. Szłam sobie tak i, jakby w przeciwieństwie do tych ludzi, stanęli przedemną inni, ludzie dobrzy, ludzie szlachetni, którzy jakby mówili: Nie, nie wszyscy ludzie są tacy. A ja szłam i zapytywałam siebie: „Czy naprawdę nie wszyscy?“ *Riwka.*

Kilka uwag.

Takiemi to smutnemi, wcale nie młodzieńczemi myślami, natchnęła nas szkaradna zima. Ale na szczęście kończy się królowanie tej zgarbicnej staruchy. Młoda, radosna wiosna zdąża już ku nam szybkiemi krokami. Już na niedługo wyjdziemy z naszych ciasnych i brudnych lokali w szeroką, piękną dal. Plecak na ramiona, mapa do ręki i — hejże! — w pola i lasy, na łono budzącej się do nowego życia przyrody. Niejedna pogadanka nabierze większego uroku pod rozłożystemi gałęziami drzew, niejedna pieśń wyryje niezatarte piętno w naszych duszach, gdy odezwie się przy krwawym blasku ogniska w ciemnym cichym lesie.

Każdy z nas napewno podzieli się z swym najlepszym powiernikiem — gazetką — wrażeniami i opisami pięknych wycieczek.

* * *

Rok pracy szkolnej zbliża się ku końcowi. Przyjdą wakacje — dni radości i swobody. Ale tem radośniejsze i swobodniejsze będą wśród swoich, wśród młodych — na kolonji. Otoczeni zewsząd górami, zdala od gwaru i kurzu miejskiego, zdani tylko na siebie, przepędzimy te kilka tygodni wśród zabaw i ćwiczeń.

Czyż jest taki, ktoby niechciał jechać na kolonję? Niech każda kwuca zbiera grosz do grosza, niech sprzeda jaknajwięcej bloczków, niech urządzi jakieś przedstawienie, byleby i ten który niema pieniędzy, mógł wyjechać. *Dow.*

Drukarnia Pospieszna A Lehrhafta, Plac Dominikański 1.